

Dobry duch Lasek

Z Zofią Morawską, która 13 listopada obchodziła setne urodziny rozmawia Jacek Moskwa

74 lata temu związała się z Zakładem dla Ociemniałych w Laskach. Mieszka tu i pracuje od 60 lat. Jest ostatnią z osób, które współpracowały z Założycielami: Matką Elżbietą Czacką, Ojcem Władysławem Kornilowiczem, ks. Antonim Marylskim i innymi. Dla ofiarodawców z całego świata pozostaje gwarantem, że pomoc z ich strony zostanie właściwie spożytkowana.

Kiedyś zapytałem ją, na czym polega Duch Lasek. Pani Zula opowiedziała na to następującą scenkę: przed kaplicą z nie okorowanych bali sosnowych stoi pan Zygmunt Serafinowicz, kierownik wszystkich szkół w Laskach, brat wielkiego poety Leszka Serafinowicza - Lechonia. Słyszając, że inni się spierają, podnosi nos i delikatnie porusza nozdrzami, chwytając wiatr jak rasowy pies gończy. - Jakoś tutaj tego ducha nie czuję!

Ta ironiczna wypowiedź sama wydaje się częścią ducha Lasek, silnie naznaczonego franciszkańską radością wśród biedy, a zarazem dystansem wobec siebie samych. Jest też komentarzem do rozmaitych kwasów, buzujących czasem w tej wspólnocie. Zofia Morawska często wspominała swoją rozmowę na ten temat z ks. Tadeuszem Fedorowiczem, podobnie jak ona przez długie lata związanym z Laskami: jak to jest, że ducha Lasek odczuwają ludzie z zewnątrz, a my widzimy z bliska różne trudne sprawy?

JACEK MOSKWA: - Gdyby znalazła się Pani znowu w dniu Wszystkich Świętych roku 1930 przed kaplicą w Laskach i spotkała siebie samą sprzed siedemdziesięciu czterech lat, co by Pani poradziła tej dziewczynie? Czy dobrze robi, decydując się na pozostanie w Laskach?

ZOFIA MORAWSKA: - Jak najbardziej! Mogę powiedzieć, jak robię to często, rozmawiając z dzisiejszymi pracownikami Lasek, że uważam pracę dla niewidomych za jedno z najwspanialszych zajęć na świecie. Jeżeli człowiek przychodzi z chęcią dawania czegoś drugiemu, właśnie tutaj znajdzie olbrzymie możliwości. I może szybciej niż gdzie indziej widać tu efekty pracy. To wielki przywilej i łaska, móc pracować w Laskach.

- **Szczęście przy klasztorze**

- Czyli że tego postanowienia: coś poświęcam, usuwam się ze świata, nie było?

- Decydując się na pracę w Laskach, wcale nie usuwałam się ze świata. Jeszcze przez 14 lat mieszkałam u mojej matki. Nie poświęciłam życia, wybrałam je. Miałam

możliwość wyboru, bo byłam finansowo niezależna. Uważałam, że mogę swoją pracą oddać jakąś przysługę. Ale to ja wygrałam, a nie straciłam.

- I nigdy Pani tego kroku nie żałowała?

- Nigdy!

- W związku z tym uważa się Pani za osobę obdarowaną?

- Zanim odpowiem, chcę zrobić pewne zastrzeżenie natury osobistej. Nie widzę w sobie elementów, które byłyby interesujące. Nie stworzyłam wielkich dzieł, nie robiłam niczego nadzwyczajnego, zajmowałam się administracją. Nie czuję się osobą, która może zaciekać innych ludzi.

Natomiast w życiu miałam pod dostatkiem tego, co po pogańsku nazywamy szczęściem, a co ja nazywam wielką łaską Bożą. Nie mam tu żadnych zasług, wszystko zostało mi dane. Po pierwsze, miałam rodziców bardzo zgodnych. Ojca i matkę dzieliła ogromna różnica wieku, a jednak ich życie ułożyło się bardzo harmonijnie. Człowiek sobie rodziców nie wybiera i jest to wielka łaska, jeśli takich ma. Nigdy nie było tego, żeby nas pouczali, moralizowali, ustawiali w życiu. Natomiast służyli nam przykładem. Może to dzięki nim tak bardzo lubię pracę? Ojciec taki był; odziedziczyłam po nim, że praca nie jest dla mnie katorgą, jak dla wielu ludzi.

Moje szczęście polegało jednak na tym, że zawsze robiłam to, co chciałam. Przeszłam przez życie w ten sposób, że wybrałam sobie Laski, mogłam w nich zostać, nie mając potrzeby zarabiania na utrzymanie. Środki, jakie miałam z domu, pozwalały mi przed wojną nawet na to, że wyjeżdżając z Antonim Marylskim mogłam płacić z własnej kieszeni nie tylko za swój, ale i jego bilet. W latach 30. kilka osób z Lasek miało udać się do Lwowa, gdzie proponowano nam objęcie tamtejszego zakładu dla niewidomych. Tymczasem nie było nawet na bilety! Dopiero siostra Maria Franciszka - Irena Tyszkiewiczowa pobiegła do ministra komunikacji, który dał darmowe przejazdy.

Dalej: przeżyłam dwie wojny, ale nie doświadczyłam tak strasznych rzeczy, jak wiele innych osób, chociażby jak moja matka i siostra, wypędzone siłą z płonącego miasta. Nie trafiłam do hitlerowskiego obozu czy na Syberię. Doświadczyłam, co prawda, oblężenia Warszawy w 1939 r., ale już czas Powstania w 1944 r. spędziłam w Laskach, gdzie było znacznie bezpieczniej.

- Rezygnacja z życia rodzinnego musiała być jednak dla Pani dużym wyrzeczeniem. Choć nie miała Pani powołania zakonnego, ale większość życia spędziła Pani w klasztorze...

- Przy klasztorze!

- No tak, przy klasztorze. Przez ćwierć wieku naszej znajomości zauważyłem jednak, że jest Pani osobą niezwykle rodzinną: ciągną tu do Pani bliscy i dalecy krewni.

- Zaczęło się to podczas okupacji od opieki nad licznym rodzeństwem Grocholskich, z którymi żadne pokrewieństwo mnie nie łączy. Ponieważ już po wojnie w Laskach znalazły się też dzieci mojego brata, które mówiły do mnie "ciociu", przejęli to także Grocholscy i Czetwertyńscy, którzy też tu byli. Zrobiłam się taką uniwersalną, przyszywaną ciotką.

Nasza rodzina była bardzo liczna. Mój ojciec miał trzech braci i cztery siostry. Samego tylko najbliższego rodzeństwa, stryjecznego i ciotecznego, było nas - Morawskich, Chłapowskich, Górskich, Platerów - dwadzieścia dwoje. Wszyscy już odeszli: zginęli na wojnach albo poumierali w inny sposób. Ja byłam najmłodsza i zostałam.

- A nie żałowała Pani, że nie założyła własnej rodziny?

- W pewnej chwili chciałam wyjść za mąż, wiązało się to z moją jedyną miłością. Jeśli ją poświęciłam, to dla Lasek, dla Matki Czackiej przede wszystkim. Ona była w tle każdej decyzji. Nie mogło być tak, że moje osobiste szczęście przeważałoby nad przykładem Matki. Zresztą nie sądzę, żeby to było prawdziwe szczęście.

To, że musiałam zrezygnować, było dla mnie bardzo ciężkie. Jak już mówiłam, chciałam nawet odejść, ale wybuchła wojna i stało się inaczej.

- **Związywanie nici**

- Kim była dla Pani Matka Czacka?

- Nie tylko dla mnie, ale dla wszystkich ludzi w Laskach była pierwszą osobą. Najwyższym autorytetem. Ona to Dzieło stworzyła. Wszyscy uważaliśmy ją za świętą, którą była w istocie. Staraliśmy się wypełniać jej wolę. Nigdy jej zresztą nie narzucała. Była niezmiernie delikatna w prowadzeniu ludzi, uczyła ich odpowiedzialności. Kiedy pracowałam pod jej kierunkiem, zawsze pytała przy rozwiązywaniu problemów: Co Ty uważasz? Jakie jest Twoje zdanie? A przecież byłam wtedy młoda i niedoświadczona. Miała, rzecz jasna, swoje zdanie, ale szanowała opinię drugiego człowieka. Potrafiła go zachęcić, aby szukał własnych rozwiązań, był twórczy, aby to robił z myślą i odpowiedzialnością.

Na pewno zbliżała mnie też do Niej pewna wspólnota intelektualna - te same lektury. Na przykład książka Montalamberta o świętej Elżbiecie. Matka Czacka wzięła po niej imię zakonne, ja - imię od bierzmowania. Także wszystkie pozycje Joergensena o św. Franciszku i jego naśladowcach. To tworzyło klimat, który ułatwiał zbliżenie. Matka była bardzo łaskawa, dobra i pobłażliwa, a równocześnie darzyła mnie zaufaniem, na które nie zawsze zasługiwałam.

- Młodzi ludzie ciągle przychodzą do Lasek. Czy są podobni do Was: młodzieży z lat 20. i 30. ubiegłego wieku?

- Chyba jednak inni. My wszyscy przychodziliśmy na służbę i nie baliśmy się tego słowa. Dzisiaj nie jest ono w modzie. Wymagania są inne, bardziej profesjonalne. Kandydat do pracy w Laskach musi mieć magisterium, zarówno nauczyciel, jak wychowawca. Uważam, że to nonsens. Do wychowywania trzeba mieć talent pedagogiczny, a nie formalne wykształcenie. Druga sprawa: młodzi ludzie nie lubią nikomu niczego zawdzięczać. Jakby to poczucie ich upokarzało. Ja osobiście odczuwam wdzięczność, że mogłam pracować z Matką Czacką, z Antonim Marylskim. Przede wszystkim odpowiadała mi bardzo duchowość Lasek.

- Ale jednak to właśnie Pani reprezentowała i reprezentuje praktyczną stronę Dzieła Matki Czackiej.

- Myślę, że fałszywy byłby obraz, jakoby Laski mi coś zawdzięczały. Przecież utrzymujemy się z kwesty: rozpoczęta przez Komitet Nowojorski, potoczyła się później, rosnąc jak kula śniegowa i obejmując bardzo wiele innych krajów (Kanadę, Anglię, Niemcy, Szwajcarię, nawet Australię). Moja przydatność w tej pracy polega na tym, że znam języki. Dzięki temu związały się najrozmaitsze nici.

- **Łatanie dziur**

- Ogromny szacunek otoczenia może tłumić głosy krytyczne. Proszę więc, aby Pani sama opowiedziała o swoich wadach.

- Jestem popędliwa, złoścuję się. Za wszelką cenę staram się przekonać ludzi do mojego myślenia. Za mało ich słucham.

- Czy jest Pani apodyktyczna?

- W 1947 r. zostało ponownie zarejestrowane Towarzystwo Opieki nad Ociemniałymi. Od tego czasu jestem skarbnikiem: gospodaruję pieniędzmi i myślę nie o tym, co można nowego zaplanować, ale gdzie jaką dziurę załatać. Jeśli ktoś mówi, że jestem apodyktyczna w działaniach, to ma zapewne na myśli zarządzanie zasobami finansowymi. Ciągłe mamy za mało środków w dyspozycji i ktoś musi wziąć odpowiedzialność za wybór, co bywa niepopularne.

- A jak Pani sądzi: na czym polega tajemnica Pani długowieczności, sprawności umysłowej w tak późnym wieku?

- Także to jest łaska Boża. Kiedy byłam mała, uchodziłam za bardzo słabą i delikatną. Pakowali we mnie kogle-mogle i różne takie rzeczy, żeby organizm wzmocnić. Widocznie to pomogło, bo zachowałam zdrowie do późnych lat (jeśli nie liczyć kłopotów ze wzrokiem). Mój wiek imponuje ludziom. Czasem to dyskontuję.

- W jaki sposób?

- Wzruszają się na przykład nasi emigranci. Przyjechała kiedyś pewna pani z Pensylwanii. Przekazała jakiś dar od swojego stowarzyszenia, a potem zapytała, ile mam lat. "Dziewięćdziesiąt dziewięć" - odpowiedziałam. "Ojej!" - ucieszyła się i wyjęła kolejne 100 dolarów.

Powstaje też sporo reportaży. Znowu jakaś pani chce nakręcić coś do filmu. Bo to taka sensacyjka - stuletnia osoba, a jeszcze ciągle pracuje. Godzę się jednak, nie z próżności, ale w poczuciu pokory. Jeśli to pomaga Laskom...

- Do pieniędzy trzeba jednak mieć nie lada głowę...

- Do spraw finansowych chyba jednak jej nie mam. Gdyby chodziło o inwestycje czy jakieś operacje giełdowe, to raczej bym się radziła Marty Zielińskiej, mojej długoletniej współpracownicy. Ona się na tym zna. Teraz zresztą nie mam wyboru, na co przeznaczать pieniądze. Po prostu to, co dostajemy, zaraz wydajemy na bieżące potrzeby.

Dawniej wszyscy w Laskach zbierali do wspólnego garnka. Siostry chodziły po warszawskich kamienicach zbierając pieniądze, Matka Czacka kwestowała wśród rodziny i znajomych, ks. Kornilowicz miał dużo dobrze sytuowanych znajomych. Jego Dom Rekolekcyjny ciągle pomagał całemu Dziełu. Na przykład przyjeżdżał do niego Andrzej Wierzbicki, szef "Lewiatana", który rządził całym polskim przemysłem. To się zmieniło, Laski się niezmiernie zdecentralizowały, powstała wielka liczba działów nie związanych ze sobą. Przy takiej skali naprawdę bardzo trudno o bezpośrednie kontakty. Odnoszę to też do siebie samej. Kiedy jeszcze zajmowałam się administracją, a przyszedł nie zapowiadany interesant, tłumaczyłam, że nie mam czasu, bo są pilne sprawy do załatwienia. To wielki błąd, bo zamiast usprawiedliwiać się, lepiej przez parę chwil człowieka wysłuchać.

Czasy też się zmieniły. Wszyscy się gdzieś śpieszą: biegną albo jadą na rowerze. Trudniej wtedy zatrzymać się, zamienić parę słów, zażartować. Atmosfera dawnych Lasek pełna była tej franciszkańskiej radości. Teraz gdzieś ona znikła.. Mało kto potrafi być otwarty na drugiego, roześmiać się, żartem rozładować sytuację. Ciągle czuje się duże napięcie między ludźmi. Może to dlatego, że czasy stały się tak ciężkie?

- Pani Zulu, czy aby naprawdę? Jeśli porównać to z początkami Lasek, kiedy siostry żywiły się suchym chlebem, albo nawet z pierwszymi latami stanu wojennego, naprawdę nie jest tak źle.

- Takie odczucia zawsze są subiektywne. Na przykład tego naszego napięcia, o którym mówiłam, nie odczuwają chyba ludzie z zewnątrz. Kiedy ktoś do nas trafia po raz pierwszy, mówi: "Idę od przystanku, przekraczam bramę, wchodzę do lasu i czuję, że tu jest jakaś oaza dobra i spokoju". Tylko że w tej oazie wszyscy powinni

być uśmiechnięci, serdeczni wobec drugiego. Jest to cecha franciszkańska i wiele siostr ze Zgromadzenia Służebnic Krzyża ją posiada, ale nie wiem, czy wszyscy świeccy też.

Mam dużo do czynienia z ludźmi spoza Lasek, ponieważ taka jest rola naszego działu, aby ich przyjmować, interesować się nie tylko darem, który przynoszą, ale nimi samymi. Widzę, jak dobrze reagują na naszą serdeczność. Trzeba ich pytać, trzeba mieć dla nich czas.

- Jak Pani by podsumowała to swoje stulecie?

- W trzech słowach: wierność obranej sprawie. A to było rzeczą łaski. Ale jednocześnie im dłużej człowiek żyje, tym więcej widzi tego, co zrobił źle, czego nie potrafił. Na przykład, że się nie umie modlić. Muszę mieć ufność, że Pan Bóg pomoże nam w trudnej sytuacji.

- Jak Pani się modli?

- Od czasu Pierwszej Komunii codziennie chodzę na Mszę, czego nauczył mnie mój katecheta, ks. Marceli Ślepicki. W tamtych latach mieszkaliśmy w Krakowie na ulicy Garncarskiej, naprzeciwko kościoła, gdzie były siostry Sercanki z zakonu założonego przez biskupa Pelczara. Wybiegałam z domu i już byłam na Mszy. Potem, jak poszłam do szkoły Urszulanek Czarnych, uczęszczałam na Mszę przed lekcjami. Na szóstą czy wpół do siódmej, bo musiałam jeszcze wrócić do domu na śniadanie. Nauczyłam się tego na całe życie.

Uważam natomiast, że nie mam takiego daru, jak Antoni Marylski, który potrafił całymi godzinami trwać na modlitwie. Odmawiam Różaniec, o ile się udaje. Brakuje mi jednak tej łatwości. Dawniej czytałam codziennie Ewangelię, teraz już nie mogę ze względu na wzrok, więc mam biedę pod tym względem. Za to słucham na okragło nagrania "O naśladowaniu Chrystusa" Tomasza a Kempis. Mam też "Psalmy" w tłumaczeniu Czesława Miłosza.

- A z innych lektur, które Pani czytają?

- "Tygodnik Powszechny", bardzo ciekawy. Siostra Alma Skrzydlewska czyta mi ostatnio po francusku książkę "O wspólności", którą napisał założyciel Wspólnoty św. Idziego Andrea Riccardi. Lubię książki biograficzne, na przykład teraz o ojcu Piotrze Rostworowskim.

- A kim jest dla Pani Bóg?

- Kimś, do kogo staram się bezustannie odnosić. Widzę go w Osobie Chrystusa Pana, która dla mnie jest bardziej dostępna. Przeżywam tajemnicę Wcielenia, dramat Męki Pańskiej. Wszystko to ułatwia modlitwę. Wiare trzeba ciągle ożywiać.

Wkrótce nakładem Wyd. Znak ukaże się "Dotknąć wiary" - książka Jacka Moskwy poświęcona pani Zofii Morawskiej i Laskom.

Zofia Morawska

Kaplicę w Zakładzie dla Niewidomych w Laskach przyozdobiono dziewięćdziesięcioma dziewięcioma białymi różami. Setną przyniósł w procesji darów do ołtarza miejscowy przedszkolak. Tymczasem Zofia Morawska, za której sto lat życia ta liturgia była dziękczynieniem, siedziała, jak zauważył ks. biskup Bronisław Dembowski, "w swoim kąciku", jakby chciała zostać niezauważona. Mówią, że przez życie też starała się przejść niezauważona, ale z tłoku w kaplicy można wnioskować, że jej się nie udało.

Nie dlatego, że nie można nie dostrzec tak długiego życia, lecz dlatego, że tak pięknie zostało przeżyte. Urodziła się jako córka Kazimierza Morawskiego, rektora Uniwersytetu Jagiellońskiego, a później prezesa Polskiej Akademii Umiejętności, odznaczonego w latach 20. minionego stulecia Orderem Orła Białego. Kilkadziesiąt lat później jako pierwsza kobieta otrzymała z rąk Lecha Wałęsy ten sam order, a jej obecność wśród odznaczonych kolejny raz udowadniała, że od działań widocznych i docenianych nie mniej ważne są te czynione na uboczu.

Siedemdziesiąt pięć lat życia poświęciła Laskom. Zaczęła od pracy w tzw. Patronacie, organizując warsztaty, świetlice, opiekę, pośrednictwo pracy, a także kwestę. W 1947 r. zajęła się finansami jako skarbnik Towarzystwa Opieki nad Ociemniałymi i pełni tę funkcję do dziś. Może dlatego, że dla niej to nie tyle praca, ile służba - całym życiem. Nie założyła nigdy rodziny, ale też nie wstąpiła do zakonu. Jak żartobliwie tłumaczy, śluby ubóstwa mogłaby przyjąć w każdej chwili, ślubów posłuszeństwa - nigdy.

W sobotę 13 listopada w Laskach spotkali się przedstawiciele kilku pokoleń wychowanków, pracownicy Zakładu, rodzina jubilatki, przyjaciele i ci wszyscy, którzy czują wdzięczność za dar jej życia. Były życzenia składane w imieniu premiera i prezydenta Warszawy, przemówienia i kwiaty. Były też niezwykle prezenty: sto kilo cukierków od lokalnego samorządu, czek od spółdzielni "Nowa Praca Niewidomych" czy wreszcie założony przez Nowojorski Komitet Pomocy Niewidomym w Polsce Fundusz im. Zofii Morawskiej ze stoma tysiącami dolarów na koncie, które jubilatka może przeznaczyć na dowolne potrzeby Zakładu. Aby obdarować panią Morawską, trzeba obdarować jej wychowanków...

Najcenniejsza jednak jest wdzięczność, którą z trudem ubierano w słowa. "Nie popatrzę z miłością w Twe oczy (...) ale powiem szczerze z głębi duszy, proste słowo: dziękuję" - śpiewała dorosła już wychowanka. Ktoś porównał Jubilatkę do stuletniego dębu, który wrosnięty głęboko w Laski, daje poczucie

bezpieczeństwa. Ktoś inny powiedział: spotkaliśmy się tu, by uczcić pierwsze stulecie działalności pani Morawskiej na rzecz Lasek... "Wszystko w moim życiu zdarzyło mi się zupełnie niezasłużenie" - mówiła sama Zofia Morawska.

Zuzanna Radzik

Copyright tekst i zdjęcia Tygodnik Powszechny